

Jeśli chodzi o słodką wodę, mam nieskończoną ilość lodu. Swoją drogą mieszkańcy Saqqaq robią z niego zapasy. Gdy tylko odłamek góry lodowej zostanie wyrzucony na plażę, zabierają go. To jest najczystsza woda, jaka istnieje!

Wreszcie mam też ampułki z witaminą D oraz tabletki witaminy C na każdy dzień, aby zrekompensować brak owoców, warzyw i słońca.

W razie poważnych problemów, jeśli coś pójdzie źle i będziemy musieli opuścić jacht i przetrwać w temperaturze minus 40 stopni, mam wodoodporny worek liofilizowanej żywności na jedenaście dni, po trzy posiłki dziennie. Jeśli będę się ograniczał, wytrzymam około dwudziestu dni, czyli wystarczająco długo, aby dotrzeć do wioski na piechotę.

Oczywiście nie wiem, czego się spodziewać. Ale gdybym nie miał nic do odkrycia, jaki byłby sens tego wszystkiego? Jestem pewien, że po tych wyjątkowych przeżyciach będę innym człowiekiem. Zostaną mi wspomnienia do końca życia. A lekki niepokój, który odczuwam, to część tej zabawy!

Jest szósta rano. W Bretanii druga w nocy, wszyscy śpią.

Gdy się budzę, jest już prawie jedenasta. Przez iluminator nad moją koją wpadają tylko słabe półcienie przecinające niebo. Słońce powróci dopiero w lutym. Mimo wszystko muszę z nich skorzystać. Mamy ledwie kilka godzin półmroku. Za miesiąc nie będzie nawet tego, aż do lutego. To może okazać się trochę trudne do zniesienia.

Idę do Moniki. Już się obudziła, zniosła jajko! Pierwsze jajko naszej nowej przygody! Na pokładzie termometr wskazuje minus 28 stopni. Korzystając z wiatru, przybyła do nas wielka bryła lodu, aby dotrzymać nam towarzystwa. Jeśli przejdzie obok, nie ma problemu, ale jeśli osiądzie na mieliźnie na naszej wysokości, sprawy się skomplikują. Wygląda na to, że dryfuje prosto na nas. Próbuję ją odepchnąć przy użyciu *touk*, ale nie wydaje się, żeby choć drgnęła. Myślę już o podniesieniu kotwicy, aby znaleźć bardziej osłonięte miejsce. Ponieważ winda elektryczna już nie działa, będę musiał wybrać 60 metrów łańcucha ręcznie.

Na zewnątrz widzę w oddali światło. To łódź rybacka, chyba płynie w naszą stronę.

Ależ to Uno! Co się stało, że już mnie odwiedza? Macham do niego, pozdrawiając go po grenlandzku:

– *Aluu!*

Zatrzymuje się na mojej wysokości, wyłącza silnik. I pyta mnie, jak się czuję:

– *Qanorippit?*

Odpowiadam, że wszystko w porządku:

– *Ajunngilaq! Ajunngilanga, qujanaq!*

Kontynuuje, ale jego słowa zagłusza wiatr. Kładzie rękę na sercu i daje mi znak „nie”. Nic z tego nie rozumiem, oprócz tego, że sprawia wrażenie poważnego.

– No dalej, Uno, wsiadaj! *Come on board!*¹⁵

Gdy się już rozgrzał, wyjmuje telefon komórkowy i pokazuje mi zrzut ekranu. Jest to przesłana dla mnie wiadomość od mojej siostry Nolwenn.

Biorę telefon do ręki. Wiadomość jest napisana po francusku, ale czytam ją kilka razy i nie rozumiem. Ponieważ nie mogę jej zrozumieć. Ponieważ jest to niewyobrażalne.

Mój ojciec nie żyje.

Stało się to dzień wcześniej. Kiedy kręciłem film, wrzeszcząc, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, on miał zawał serca.

A teraz jestem tutaj jak głupi na końcu świata, sam na sam z kurą.

Uno bierze mnie w ramiona. Nie może zostać, pogoda jest zła i chce wrócić do domu przed nocą. Ścisza mnie jeszcze raz i się zbiera. Patrzę, jak jego łódź odpływa, Uno ostatni raz macha do mnie ręką i rozpływa się we mgle.

Wczoraj był najlepszy dzień w moim życiu. Dziś jest najsmutniejszy.

Słowa Nolwenn wirują mi w głowie. Nadal nie mogę uwierzyć w to, co przeczytałem. Za godzinę, może dwie miałem dzwonić do ojca. Chciałem mu jeszcze raz powiedzieć, że wszystko, co robię, zawdzięczam właśnie jemu. Mój ojciec był w świetnej formie. Zawsze byłem z nim

¹⁵ Od tłumacza: Po angielsku oznacza to: „Wejź na pokład!”.

silnie związany. Był jedynym człowiekiem, który wierzył w moje projekty, pierwszym, któremu się z nich zwierzałem. A teraz już go nie ma.

Pogrzeb odbędzie się w poniedziałek, za trzy dni, a ja... nie będę mógł wziąć w nim udziału. Następny helikopter odlatuje we wtorek. Mogę odłożyć wyprawę, wrócić do Bretanii, być z moją rodziną. Ale czy będę miał odwagę tu wrócić? I czy moja rezygnacja nie rozczarowałaby ojca? Tam, gdzie teraz jest, chce, żebym kontynuował rejs, jestem tego pewien. Muszę okazać się godny jego zaufania, nie mogę zawieść pokładanych we mnie nadziei.

„Daj spokój, nie wolno ci płakać. Trzeba iść do przodu” – przekonuję samego siebie. Nie mam wyboru. Myślałem, że przewidziałem wszystkie ciosy, które mogą na mnie spaść. Ale już pierwszego dnia dostałem najgorszą wiadomość w życiu. Tego nie było w programie.

Jeśli mam przetrwać, muszę zamienić rozpacz i gniew w siłę. Nie wierzę w przypadek. Skoro mój ojciec odszedł tego dnia, w którym rozpocząłem wyprawę, być może zrobił to po to, by towarzyszyć mi w tym odosobnieniu. Chce być u mego boku. Aby mnie wspierać. Aby dawać mi dobre rady. Dobrze, przejdziemy przez to razem, tato. Nie zabraknie mi twojej energii, odwagi i wsparcia mentalnego, abym mógł zrealizować swoje marzenie.

Ojciec nie chciałby, żebym teraz odpuścił. Idę nakarmić Monikę i ugotować porcję ryżu dla siebie na cały dzień. Zakładam rękawice, po czym zaczynam wybierać kotwicę, aby przestawić „Yvinec”.

Staję o 200 metrów dalej i dzwonię do sióstr. Mam jeszcze ostatnie minuty, które zachowałem na telefon do ojca. Rozmowa będzie krótka. Przygotowałem kilka zdań podziękowania, które przeczytają na pogrzebie. Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, tato. Ale zanim zdążyłem przeczytać im te słowa, łączność została przerwana.

Płynę pontonem na plażę. Maszeruję po niej aż do zmroku. Wracam na jacht wyczerpany, jem ryż z jajkiem Moniki i kładę się spać.

Budzę się z suchym gardłem, sklejonymi oczami i wielką kulą tkwiącą w brzuchu. W kilka sekund wszystko powraca: Uno, fatalna wiado-

mość, słowa moich sióstr przez telefon. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie śnię, tak bardzo chciałbym, żeby to wszystko nie było prawdą. Lecz chwilę później znajduję kartkę ze słowami, które nabazgrałem na niej, mając nadzieję, że zostaną odczytane w kościele. To nie jest koszmarny sen. Już nigdy nie zobaczę mojego ojca. Wstaję i ubieram się jak automat. Otwieram drzwi kabiny Moniki. Dobrze mi robi, gdy widzę, jak kontynuuje swoje małe życie. Zniosła jajko, dziobie nasiona ze swojej miski, szuka czegoś w mojej, drepcze po iPadzie, ani przez moment nie przestając wydawać z siebie cichych dźwięków. Życie toczy się dalej i dobrze jest mieć kogoś, kto będzie mi o tym przypominał.

Korzystając ze światła, wychodzę, by rozejrzeć się na zewnątrz. Niebo jest wciąż zachmurzone. Zachodni wiatr pcha na nas góry lodowe. Słyszę, jak pękają, brzmią jak bomby wybuchające w lodowatej ciszy. Przez cały czas muszę pozostawać w gotowości do ponownego przestawienia jachtu. Kiedy growler podpływa zbyt blisko, odpycham go *touk*, a jeśli jest nieco większy, staram się robić to pontonem.

Wokół kadłuba utworzył się lód, wygląda na „Yvinec” jak biała spódnica. Nie mogę pozwolić, by mocno przywarł, bo jacht stanie się niebezpiecznie ciężki. Przemieszczam się pontonem wokół kadłuba, obstukując go młotkiem przez drewnianą deskę. Uważam, aby go nie uszkodzić. Wpadające na pokład bryzgi wody błyskawicznie zamarzającej w powietrzu, tworzą błyszczące kandelabry. „Yvinec” wygląda jak statek widmo. Wszystko wydaje się nierealne. Niebo, morze, światło, mój jacht, śmierć ojca. Czuję się zagubiony.

Pomimo włączonego piecyka i temperatury 10 stopni, wewnątrz jacht także zamarza! Zdrapuję palcem szron, który zgromadził się przez noc wokół iluminatorów. Tak naprawdę w kontakcie z metalem zamarza wszystko. W grudniu, a zwłaszcza w styczniu, będzie jeszcze gorzej. Temperatura na zewnątrz może spaść do minus 40 stopni. Nie spodziewałem się jednak tego zamarzania we wnętrzu jachtu, wydaje mi się to bardzo dziwne. Ale nie może mi zabraknąć oleju napędowego, więc nie przestawiam termostatu i 10 stopni pozostaje średnią. Ponieważ ciepłe powietrze ma tendencję do wznoszenia się, występuje duża różnica temperatur między zęzą a sufitem. Na dole na stali kadłuba jest

0 stopni, ale pod sufitem 15. W nogi jest mi więc zimno, ale w głowę ciepło! Trzeba się tylko dobrze ubrać!

PONIEDZIAŁEK, 30 LISTOPADA

Dziś rano w kościele w Plougrescant rozpocznie się pogrzeb. Pochowają mojego ojca, a ja jestem ponad 3000 kilometrów od niego. Msza zacznie się o wpół do trzeciej po południu, czyli u mnie, z uwagi na różnicę czasu, wpół do jedenastej. Chcę tam być, dzielić tę chwilę razem z nim. Chcę oddać mu hołd i pożegnać go na swój sposób. Biorę ponton i lawiruję między bryłami lodu. Na łądzie kieruję się do podnóża góry i wspinam się na jej szczyt. Tam, w morzu chmur, medytuję. Mój ojciec był wierzący, był praktykującym katolikiem. Wszedłem więc na szczyt, żeby zobaczyć go wstępującego do nieba. Mówię do niego, niewiele słów, tylko to, co najważniejsze. Kocham cię, tato. Dziękuję za to, że zawsze masz do mnie zaufanie, dziękuję za wiarę w moje projekty. Dziś jest mi bardzo ciężko... W każdym razie będę walczył dalej, tak jak zawsze mnie uczyłeś. Nie poddam się, tato, nie odpuszczę...

Źle się czuję. Dlaczego tu jestem? Dlaczego tak daleko? Dlaczego przez ostatnie lata nie cieszyłem się bardziej możliwością bycia z ojcem?

Wieczorem, leżąc w koi, patrzę przez iluminator na gwiazdy. Dzieciom mówi się, że niebo jest zamieszkane przez tych, którzy nas opuścili. W nocy rozświetlają je gwiazdy niczym miliardy małych lampek nocnych. Wyobrażam sobie, że mój ojciec jest tam na górze i czuwa nade mną, więc nic złego nie może mi się przytrafić.

4 GRUDNIA

Jesteśmy tu z Moniką od ponad tygodnia, a pole lodowe nadal się nie utworzyło. Wiatr nieco osłabł, więc jest mniej fal, które łamią lód. Jego płyty, wybielone przez świeżo spadły śnieg, dryfują powoli po zatoce.

Każdego dnia, czasem dwa razy dziennie, usuwam lód z kadłuba. Porzuciłem deskę i młotek, zamiast nich posługuję się kijem baseballowym. Nie chcę już dłużej ryzykować uszkodzenia łodzi. Gdy jest zbyt wietrznie i muszę zrezygnować z pracy z pontonu, stukam z burty jachtu. To prawdziwa katorga. Mam już tego dość. Najwyższy czas, żeby pole lodowe się ustabilizowało.

Na razie większość czasu spędzam na przestawianiu jachtu. Ręcznie wybieram łańcuch i wrywam kotwicę, żeby przestawić ważący 11 ton „Yvinec”, nie licząc ciężaru lodu, który do niego przywarł.

Jestem sam na mrozie, wietrze i śniegu, które ograniczają widoczność do 10 metrów. Muszę biegać od dziobu do rufy, by wyprostować ster. W przeciwnym razie, gdy tylko kotwica zostaje podniesiona, jacht rusza niekoniecznie we właściwą stronę i szybko może się znaleźć na mieliźnie. Następnie trzeba znaleźć bezpieczne miejsce do zakotwiczenia. Potem znowu muszę rzucić kotwicę, wydać łańcuch i jeśli to nie jest mój szczęśliwy dzień, odkrywam nową górę lodową, której nie zauważyłem wcześniej z powodu kiepskiej widoczności.

Jeszcze nie mogę zbadać okolicy. Trochę się boję wy pływać pontonem, kiedy tak mocno wieje. Za duże ryzyko, bo gdyby silnik zawiódł, mógłbym zdryfować daleko od jachtu, a wtedy *ciao*, Moniko!

Brak środków łączności zmusza mnie do myślenia. Za każdym razem gdy mam coś zrobić, wyobrażam sobie najgorsze. Nie mając nikogo, kto przyszedłby mi z pomocą, nie mam prawa popełnić błędu.

Początki są trudne, ale Monika jest w dobrym nastroju i codziennie znosi jajko! W jej kabinie zainstalowałem światło, które wyłączam wieczorem o dwudziestej pierwszej. Jeśli tego nie ureguluję, to w otaczających nas ciemnościach będzie kładła się spać o dowolnej porze, jej rytm biologiczny kompletnie się rozreguluje, a ja będę mógł pożegnać się z jajkami na miękko. Monika nie wydaje się cierpieć z powodu zima, chociaż na Wyspach Kanaryjskich nie mogła zobaczyć zbyt dużo lodu! Pogoda jest jednak zbyt ciężka, bym mógł wyciągnąć ją ze środka jachtu. Zrobiłem wyjątek na kilka minut w dniu pogrzebu mojego ojca. Jej kabina zaczyna śmierdzieć. Założyłem rękawiczki i wymieniłem wióry.

Jeśli chodzi o sprzątanie, musiałem zająć się zapasami ryżu. I tu spotkała mnie przykra niespodzianka. Przechowywany pod zlewem worek zamókł, rozdarł się i spora część jego zawartości znalazła się w zęzie. Przy okazji odkryłem, że dwudziestokilogramowe worki w rzeczywistości zawierają 18 kilogramów ryżu. To 4 kilogramy i dwadzieścia dni zapasów mniej! Za wszelką cenę próbowałam więc uratować ziarna, które rozsypały się pod zlewem, ale wyglądały niezbyt zachęcająco. Zabrałem się do ich sortowania, jednego po drugim. W końcu miałem dość tej roboty i wyrzuciłem wszystkie.

Wszędzie, gdzie tylko mogę, umieszczam kamery GoPro. Kiedy nie filmuję tego, co dzieje się na zewnątrz – zatoki, zamarzniętego jachtu, gór lodowych, skraju pola lodowego – ustawiam się twarzą do obiektywu i opowiadam o swoim dniu, dzięki temu czuję się mniej samotny.

7 GRUDNIA

Dziś pogoda dopisuje i zabieram Monikę na pokład, ale nie na długo. Około południa światło jest słabe. Biorę czekan i wsiadam na ponton, aby zdobyć trochę świeżej wody, odrąbując lód z góry lodowej. Trzeba go wyrąbywać wystarczająco wysoko, inaczej kończy się to piciem słonej wody. Zauważyłem jedną górę, która mi się podoba. Z pomocą czekana gromadzę zapasy na kilka dni! Gdy ruszam w drogę powrotną, spory kawałek góry lodowej odrywa się i spada na ponton, omal go nie przewracając. To wydarzenie studzi mój entuzjazm. Widocznie musiałem osłabić kolosa swoimi ciosami. Kolejna zasada na przyszłość: zawsze wychodzić na zewnątrz w kombinezonie ratunkowym! Zakładanie go i zdejmowanie jest żmudne i czasochłonne, ale jeśli wpadnę do wody o temperaturze minus 2 stopni, uratuje mi życie.

Po powrocie na jacht napełniam lodem garnek, w którym jest jeszcze resztką wody mineralnej, i stawiam go na piecyku. Topię tyle, by wystarczyło na kilka butelek, a resztę trzymam w zapasie na pokładzie.

Gdy robi się ciemno, wzmaga się wiatr. Rzucam okiem, by skontrolować położenie gór lodowych, ale nic nie widzę. Wiązka światła z mojej latarki omiata czarną, wzburzoną wodę, ciskającą we wszystkie

strony kawałki lodu. Nie uspokaja mnie ten widok, wracam do środka, uszczelniam iluminatory koszulkami i pieczołowicie wsuwam się do śpiwora. Wieje naprawdę solidnie, to już sztorm! Na wantach gwizdzą szkwały, których prędkość sięga 40 węzłów, fały tłuką o maszt, a growlery obijają się o kadłub. Wszystko wibruje, wszystko się trzęsie. Nie mogę powiedzieć o sobie, że jestem spokojny.

Jedynym pozytywnym aspektem tej sytuacji jest to, że dzięki turbinie wiatrowej ładują się akumulatory. Będę więc mógł podłączyć komputer i obejrzeć film, aby się trochę zrelaksować. W środku nie jest tak źle! Działa ogrzewanie i mamy światło. Monika beztrąsko wierci się w swoich wiórkach, nie podejrzewając, że w każdej chwili możemy zostać wyrzuceni na brzeg. Gdyby do tego doszło, poradziłbym sobie. Mam kombinezon ratunkowy, namiot, śpiwór... Ale Monika by nie przeżyła.

Nie śpię. Wstuchuję się w każdy najmniejszy odgłos uderzenia o kadłub i czuję, jak zamarza mi krew w żyłach. Czy to już koniec? Dryfujemy? Rzuciłem z dziobu dwie kotwice i wydałem cały łańcuch. Jeżeli jednak wielka bryła lodu doda swój ciężar do ciężaru jachtu, jeśli z 10 ton zrobi się 20 lub 30, kotwice nie wytrzymają. Dlatego za każdym razem, gdy to się dzieje, wstrzymuję oddech z nadzieją, że kotwica nie puści.

Mój GPS jest zbyt blisko bieguna, aby pomóc mi w ustaleniu dokładnej pozycji, kompas kompletnie zwariował, a jacht widać na ekranie po drugiej stronie!

Musiałem się przespać godzinę lub dwie i dopiero budzik wyciągnął mnie z koi. Nastawiłem go na dziesiątą, aby nie przegapić rzadkich godzin, kiedy jest stosunkowo jasno. Padał śnieg, cały jacht jest biały. Jak co rano wiatr osłabł i kra lodowa unosi się na otwartej wodzie.

W nocy zatrzymała się blisko nas wielka góra lodowa. Jeśli wiatr znowu zacznie wiać i skręcać na zachód, zepchnie nas na skały. Muszę przestawić jacht. Łańcuch przymarzył do lodu, uwalniam go, uderzając *touk*. Za każdym razem gdy przestawiam jacht, upewniam się, że kotwiczę na głębokości co najmniej 20 metrów. W ten sposób, nawet

jeśli widoczność nie jest dobra, mam pewność, że nie jestem za blisko brzegu. Inne niebezpieczeństwo związane z górami lodowymi polega na tym, że któryś z końców jej zanurzonej części potrafi unieść się nagle i wyskoczyć na powierzchnię wody jak korek z butelki szampana. Zdarzało się, że znajdowano opuszczone przez załogę statki z ziejącą w burcie dziurą.

Mijają kolejne podobne do siebie dni i noce. Wciąż jeszcze nie uformowało się pole lodowe. Za dnia czas spędzam na ucieczkach od gór lodowych, rąbaniu lodu, wybieraniu kotwicy i rzucaniu jej o kilkaset metrów dalej. Nocami prawie w ogóle nie śpię, by móc wsłuchiwać się w najcichsze dźwięki, czuć ruchy jachtu, żywiąc nadzieję, że kotwice dobrze trzymają. Kręcę świetne filmy katastroficzne o potędze natury. Ale co ja tu, do diabła, robię?

10 GRUDNIA

Kamera stała się prawdziwym lekarstwem na samotność. Coraz więcej czasu poświęcam na zwierzanie się jej. Dzisiejsza noc nie daje mi spokoju. Jak zawsze wzmaga się wiatr. Opowiadam właśnie podniesionym tonem o ryzyku ponownego uderzenia bryły lodu w kadłub, kiedy nagle rozlega się huk. Opuszczam śpiwór i pędzę do wyjścia, nie zdążywszy nawet założyć spodni. Półnagi, w bokserkach i kapciach, wyskakuję na pokład. Tuż obok nas unosi się wielka bryła lodu, o którą gwałtownie uderza rozkołysany na fali „Yvinec”. Boję się, że kadłub nie wytrzyma. Mimo remontu, który przeszedł w stoczni na Trynidadzie, ma jeszcze kilka słabych punktów. Muszę działać szybko, postanawiam wybrać łańcuch kotwiczny. Nawet świecąc latarką, nie widzę końca pokładu. Z całych sił wybieram, ogniwo po ogniwie, 20 metrów łańcucha, wystarczająco dużo, by zejść z drogi górze lodowej.

Zimno powoduje, że nie czuję gołych stóp. Mam wrażenie, że udało nam się uniknąć najgorszego. Muszę się tylko modlić, żeby ten cholerny wiatr nie wpadł na pomysł zmiany kierunku. Kiedy wracam do ciepłej kabiny, z nosa spadają mi stalaktyty. Jest wpół do piątej rano,

a ja jestem wykończony. Mam nadzieję, że kadłub nie jest zbyt mocno uszkodzony. Musiał nieźle ucierpieć. Na razie, aby móc ocenić szkody, jestem zmuszony poczekać na słabe światło dzienne. Zakładam więc skarpetki, rajstopy, sweter i wsuwam się do śpiwora. Rozgrzany nie mogę spokojnie zasnąć, wracam więc na pokład, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Góra lodowa nadal tam jest, tkwi bez ruchu około 10 metrów od jachtu. Tyle tylko, że wszędzie zaczynają pojawiać się kolejne. Wolę nie czekać. Przesławiamy się na drugi koniec zatoki. Mam nadzieję, że tam znajdziemy lepsze schronienie.

Tutaj jestem osłonięty od wiatrów zachodnich, tych najgorszych, które przysyłają góry lodowe i spychają nas w kierunku wybrzeża. Teraz, kiedy jesteśmy bezpieczni, muszę choć trochę odpocząć. Czuwam już od kilku nocy. Jeśli wystąpią jakiegokolwiek komplikacje, nie dam sobie z nimi rady. Muszę koniecznie odzyskać siły.

Nie mogąc uwolnić się od niepokoju, budzę się co kwadrans. Wychodzę na zewnątrz z latarką i nie mogę uwierzyć własnym oczom. Kolejna wielka bryła lodu! Niemożliwe! Skąd się tu wzięła? W dodatku jest całkiem pokaźna, ma co najmniej 4 metry wysokości! Nie mogę mieć choćby jednej normalnej nocy?

Podnoszę kotwice i uruchamiam silnik. Jest godzina dwudziesta trzecia trzydzięci. Przez ostatnie dwie doby nie spałem prawie wcale. Dłużej tego nie wytrzymam. Nieważne, jak bardzo sobie wmawiam, że Monika i ja przeżyjemy wyjątkowe chwile. Nie widzę ich na horyzoncie i zastanawiam się, gdzie w tym początku przygody jest przyjemność.

Gdy wystawiam nos na zewnątrz, jest już po jedenastej. A wiatr całkowicie ustał! Jak miło! Mogę iść na ryby, tak długo na to czekałem! Kolejną dobrą wiadomością jest to, że moja echosonda zaczęła działać. Znowu mogę monitorować głębokość. Na mniejszej niż 3 metry grozi nam wejście na mieliznę i wyrzucenie na brzeg.

Gotuję ryż, otwieram drzwi do kabiny Moniki, razem jemy śniadanie, a potem przygotowuję sprzęt wędkarski. Wewnątrz jachtu nie jest

ciepło. W ciągu dnia temperatura zawsze wynosi od 10 do 15 stopni Celsjusza, ale w nocy może spaść nawet do 5.

Biorę wędkę, haczyki i przynęty, zakładam suchy kombinezon, wska-
kuję do pontonu i ruszam na łowy. Czas złapać obiad!

Tyle tylko, że silnik nie ma mocy. A moja wiedza o silnikach za-
burtowych nie jest zbyt duża. Brudna świeca zapłonowa? Zdejmuję
pokrywę, demontuję świecę i... zaczyna się. Wkładam świecę zapło-
nową z powrotem, nie przerywając pracy silnika, i – bum! – dostaję
potężnego kopa. Wyłączam silnik, czyszczę kolejną świecę zapłonową
i znowu nic. Właśnie teraz, kiedy choć raz morze jest piękne i wreszcie
mógłbym łowić ryby! Szafu można dostać. Nie zaryzykuję popłynięcia
na wioślach, bo mogłoby mnie zdryfować! Zresztą to nie ma sensu, jest
już ciemno. Wracam na jacht. Zrezygnowany.

Brak środków łączności to bardzo dobre rozwiązanie, ale gdybym
miał prognozę pogody, wiedziałbym przynajmniej, co mnie czeka. Mam
już dość niespodzianek i nieoczekiwanych wydarzeń. Mogę winić tylko
siebie. Chciałem odosobnienia, no to je mam. Tak samo jeśli chodzi
o jedzenie. Od trzech tygodni odżywiam się wyłącznie ryżem i jajkami.
Co mnie opętało, że tak sobie to wymyśliłem?

Wieje, znowu wieje i nie przestaje wiać, jeszcze przez sześć dni. Gdy
wieje z zachodu, wiatr wpada do zatoki i znowu ją wzburza, tworząc
fale i wpychając lód, który zbiera się wokół jachtu. Przez cały czas oba-
wiam się, że bryły lodu przebiją kadłub. Nie mogę uwierzyć, że nadal
unosimy się na wodzie. Radzimy sobie naprawdę dobrze. To pewnie
ojciec czuwa nade mną z góry.

Kiedy sprawdzam stan kadłuba, dostrzegam, że mam sporo wody
w zęzach. Włączam pompę, a ona, niech to szlag trafi, zaczyna dy-
mić. Okazuje się, że otwór spustowy jest całkowicie zatkany lodem.
Wsiadam na ponton, aby dostać się do niego z zewnątrz, i oczysz-
czam, stukając śrubokrętem i młotkiem. Ponownie włączam pompę.
Bez skutku. Gotuję wodę i wlewam niezliczoną liczbę garnków z gorącą
wodą do rury. Ta nadal jest zablokowana. W końcu się poddaję. Przy

ciągle ujemnej temperaturze zawsze będzie zamarzała. Zajmę się tym, gdy przyjdzie odwilż. Do tego czasu codziennie będę musiał wybierać wodę z zęzy czerpakiem...

Reasumując: mój ojciec nie żyje, przez cały czas otaczają mnie ciemności, nie mogę łowić ryb, mam kiepską pogodę, lód na całym jachcie, a na dodatek nie działają pompa zęzowa, odpływ wody z zęzy, lampa pokładowa i silnik pontonu.

Na szczęście jest ze mną Monika. Jeśli jeszcze się trzymam, to w dużej mierze jej zasługa. Naprawdę jest coś między nami. Coraz lepiej wzajemnie się poznajemy. Rozśmiesza mnie, mimo że czasami bardzo wkurza, kiedy wylewa szklanekę wody na klawiaturę komputera albo obsrywa moje swetry. Wtedy krzyczę na nią i odgrażam się, że zrobię z niej danie z kminkiem i listkiem laurowym, będzie przepyszne. Oczywiście tylko żartuję. Głupio byłoby stracić jej przyjaźń i jajka dla „potrawki z kury na biegunie”, która wystarczyłaby na zaledwie trzy posiłki. W końcu nie kłócimy się tak często. Wolę rozmawiać z nią niż z kamerą. Kiedy odczuwam przygnębienie, zwierzam się jej. Opowiadam o wyprawach z ojcem na ryby, kiedy byłem mały i mieszkaliśmy na Yvinec. Tłumaczę jej, że to się już nigdy nie powtórzy. Teraz mój ojciec jest z nami, ale nie możemy się z nim zobaczyć. Kiedy jestem smutny, Monika to wie. Zwierzęta wyczuwają takie rzeczy. Lepiej niż ludzie. Odpowiada mi w swoim języku cichym: „Ko, ko, ko”. Momo to mój mały kawałek ciepłka na jachcie.

Nadal trudno mi uświadomić sobie śmierć ojca. Naprawdę uwierzę w to dopiero tego dnia, kiedy wyjdę z lodów i będę chciał do niego zadzwonić. Moja siostra powiedziała mi, że czekając na odpływ, poszedł do samochodu stojącego na parkingu naprzeciwko wyspy Yvinec. Nie zdążył wrócić do domu, aby umrzeć. Czasami zniechęca mnie myśl, że nie będę miał już dla kogo robić tego wszystkiego, że nie wyczytam już w jego oczach dumy ze mnie. Ale walczę, robię wszystko, co w mojej mocy.

Zdarzają mi się wpadki, ale jestem szczęśliwy! Gdy wiatr się uspokaja, jest trochę światła, morze zaczyna zamarzać, a w oddali widać

niebieskawe góry lodowe na gładkiej wodzie, mam magiczny widok. A jeśli jeszcze w nocy spadł śnieg, biała warstwa pokrywa lód i góry. Na niebie trwa festiwal pastelowych kolorów: różowego, pomarańczowego i żółtego. A w nocy, gdy niebo jest czyste, zorza polarna faluje jak fluorescencyjne widma.

Moje życie od kilku dni przypomina pewien amerykański film. Ten, którego bohaterem jest przestępca wysłany do karceru. Pierwszy miesiąc spędza w ciemnej celi, jest maltretowany, pałowany i głodzony. Pewnego dnia cela zostaje otwarta i więzień może wyjść na spacer, zobaczyć światło dnia i zjeść normalny posiłek. To samo dotyczy mnie. Ciemno jest prawie zawsze, czekam na utworzenie się pola lodowego, aby móc wędkować i jeść ryby... a słońce pewnego dnia powróci.

Staram się nie myśleć o jedzeniu. Jeśli wyobrażę sobie makaron carbonara ze śmietaną i bekonem, oszaleję. Poza tym kiedy czytam *Dwadzieścia dwa miesiące w lodzie* – historię żeglarzy, którzy utknęli na Antarktydzie na początku XX wieku – pomijam te fragmenty, w których jest opisane, jak rozdzielają między siebie racje żywnościowe, aby przetrwać. Samo czytanie słów: „masło”, „szynka”, „chleb” sprawia, że kręci mi się w głowie.

Czasami boję się, że zwariuję. Gadam z kurą, czeszę brodę widelcem i mimo że mam lustro, już go nie używam. Tutaj wygląd nie stanowi problemu. Wczoraj wieczorem, gdy przeglądałem w komputerze swoje najnowsze filmy, odkryłem, że wyglądam jak prawdziwy łowca przygód, z szopą włosów na głowie i gęstym zarostem! Ma on tę zaletę, że utrzymuje ciepło. Mam małe odmrożenia na policzkach, ale pod brodą jestem zajebiście dobrze chroniony. Kiedy po rozplątaniu kołtunów przy użyciu widelca wrzucam włosy do piecyka, rozchodzi się zapach, jakbym grillował wieprzowinę. To straszne, tak ładnie pachnie!

Kiedy ją zobaczyłem, było już chyba trochę po jedenastej. Wyszedłem na pokład i poczułem, że coś zbliża się do jachtu. Może kawałek lodu. A może mi się zdawało. Wpatruję się w to samo miejsce. Woda znowu się burzy. Tak! To foka! Okrągła głowa z wąsami. Bez wahania

biegnę do środka po sztucer, myśląc po drodze: „obiad”, „mięso”. Kiedy wracam na górę, zwierzę wciąż tam jest. Gdy wystawia głowę, kładę karabin na ramieniu. Składam się do strzału. Foka nie rusza się, patrzy na mnie bez najmniejszego strachu. Mam jej pocziwą gębę na celowniku. Opuszczam sztucer. W głowie mam mętlik. Biorę się w garść, ponownie przykładam karabin do szyi i celuję. Dzięki temu strzałowi przez dwa miesiące będę miał mięso. Ale zwierzę nadal się nie rusza. Mogłaby zanurkować, uciec, lecz zamiast tego wpatruje się we mnie i słyszę, jak mówi: „Nie, nie zrobisz tego, prawda? Nie ty”.

Naprawdę to powiedziała.

Ma rację, nie zrobię tego. Nie mogę. Nie mógłbym spokojnie zasnąć. Ona jest u siebie, to ja wtargnąłem na jej terytorium, jestem intruzem. Nie mam prawa. Serce nie pozwala mi jej zabić. Pozwalam więc jej odejść. Odkładam sztucer. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek go użyję... Naprawdę będę musiał coś przedsięwziąć, aby móc zacząć łowić ryby.

Jest trzecia nad ranem, a ja nadal nie zmrużyłem oka. Nie rozumiem, co się dzieje. Nigdy nie miałem problemów z zasypianiem. Włączam muzykę. Mój przyjaciel DJ z Saint-Barth zrobił mi playlistę. Na pewno nie są to kołysanki, a muzyka dyskotekowa nie należy do moich ulubionych, ale przywołuje dobre wspomnienia. Cofam się myślami o kilka lat do czasów Albatrosa, dyskoteki w Plouguiel w Côtes-d'Armor! Pierwszego klubu we Francji z obrotowym parkietem do tańca! Aby grać trudnego do zdobycia, udawałem przed dziewczynami, że jestem pijany, mimo że nigdy nie wypłem ani kropli alkoholu. Ojciec żartował, że to moja jedyna zaleta. Przyjaciele często mnie o to pytają: „Jak można się bawić, nie pijąc? Przecież tak się nie da!”. A ja nie dość, że bawię się tak samo dobrze jak oni, to jeszcze następnego dnia jestem świeży i mogę płynąć, by podnieść swoje pułapki na homary.

Mimo zmęczenia, znużenia, chwil zniechęcenia i napadów chandry, czas płynie mi dość szybko. Nie przejmuję się datami, pilnuję tylko, która jest godzina, żeby nie przegapić tych, kiedy jest trochę światła.

Nie ma dla mnie znaczenia, czy jest to wtorek, czy może niedziela, 5 czy 14 grudnia, nie sprawia mi to większej różnicy. Ale czytam na ekranie telefonu komórkowego, że jest 19 grudnia! Już 19 grudnia? Za sześć dni będą święta Bożego Narodzenia, a za niecałe dwa tygodnie Nowy Rok. Nie bardzo sobie wyobrażam, jak razem z Moniką będziemy się bawić w tę prawie dwudziestoczterogodziną noc sylwestrową. Powinniśmy to uczcić jakoś wyjątkowo! Gdybyśmy tak mogli zjeść trochę homara z grilla na zamrzniętym polu lodowym, ale na razie lód wciąż porusza się pod naszymi stopami.

Udało mi się naprawić silnik do pontonu. Przetarłem świece zapłonowe, sprawdziłem paliwo, włożyłem wszystko z powrotem na miejsce i od razu ruszył. Może wcześniej bardzo ucierpiał z powodu zimna albo zbyt dużej ilości soli, nie wiem. Ale bardzo mi ulżyło. Dopóki jesteśmy na otwartych wodach, ponton jest mi niezbędny do przeżycia.

20 GRUDNIA

Budzę się o jedenastej, rzucam rytualne spojrzenie przez iluminator, a tu niespodzianka – morze pokrywa cienka szarawa warstwa lodu. To nie jest śnieg. W przeciwnym razie nic bym nie widział przez iluminator. To, co odkrywam na zewnątrz, jest oszałamiająco piękne. Lód utworzył się wokół jachtu i rozciąga się wszędzie, aż do wybrzeża. To jest to! Nareszcie! To pole lodowe! Pole lodowe, które zamarza! Czekam na nie od miesiąca, zadając sobie pytanie: „Kiedy to wreszcie nastąpi?”. I oto jest. Co za wspaniałe uczucie! W końcu będziemy mieli naszą arktyczną zimę! Nastąpiło to tak nagle, niewiarygodnie szybko. Jeszcze wczoraj było tylko trochę dryfującego lodu. A dziś zamarzło całe morze. Patrzę z zachwytem, jak na moich oczach dziecięce marzenie nabiera kształtów. Lód wydaje się gęstnieć z godziny na godzinę, to magia. Badam lód *touk*. Ma już kilka centymetrów grubości. Za trzy do czterech dni spokojnie będzie można po nim chodzić.

Rybak z Saqqaq wpoił mi podstawową zasadę: dopóki możesz poruszać się łodzią, nie można po lodzie chodzić. A siedząc wewnątrz jachtu, czuję kołysanie. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że utknąłem

w lodzie, ale po uważnym przyjrzeniu się widać, że między lodem a kadłubem jest jeszcze wolna woda. Trochę cierpliwości. W oczekiwaniu, aż zamrznie, muszę pozostać na jachcie i jakoś zabijać czas. Gapię się na Monikę, która wsadza swój dziób prawie wszędzie, nie znajdując nic do jedzenia. Biedactwo! Co ona robi, kiedy ja będę się bawił na lodowcu, latając na kicie lub biegając na nartach? Będę mógł zabrać ją ze sobą? Na Karaibach dobrze się bawiliśmy, uprawiając windsurfing i wiosłując na SUP-ie! No dobrze, ale teraz nie jesteśmy w tropikach, to biegun północny... A gdybym zrobił jej sweter? To dobry pomysł, będę miał zajęcie! Tylko jak? Ponieważ nie umiem robić na drutach, to oczywiście nie mam żadnych motków ani drutów. Nie mam wełny, ale mam coś lepszego: mnóstwo rzeczy zrobionych na drutach! Bardzo ciepłe rękawiczki i skarpetki, które kupiłem w Halifaxie. A przy moim nawyku przesadzania ze wszystkim mam przynajmniej dziesięć par zielonych wełnianych rękawiczek. Mogę poświęcić jedną dla Momo. Biorę dobrze naostrzony nóż kuchenny i kładę rękawice na desce. Przecinam je na pół. Potem muszę tylko poskładać kawałki w całość, pozostawiając otwór z przodu na głowę, a drugi z tyłu na kuper. Po bokach wykonam otwory na skrzydła. Zszywałem już kilka żagli, powinienem sobie poradzić. Najpierw, z metrówką w ręku i Moniką wsuniętą pod pachę, zdejmuję z niej miarę jak każdy wybitny projektant mody!

Rozmiar klatki piersiowej: 49 cm.

Długość: 20 cm.

Szerokość skrzydeł: 10 cm.

Potem zabieram się do pracy.

Dzięki temu przez jakiś czas miałem zajęcie. Było to bardziej majsterkowanie niż *haute couture*! Nie wygląda na wielkie dzieło, ale kiedy Monika to założy, nie będzie widać wad. A najważniejsze, że będzie jej w tym ciepło. Na początku przymiarki idą opornie. Ale potem pozwala na nie i mogę nawet zrobić kilka bardzo zabawnych zdjęć. Nagle wykrzywia się i zaczyna szarpać wełnę dziobem i pazurami. W końcu zdejmuję z niej ubranie, które zamierza zmasakrować. Ma szczęście, że jestem dziś w dobrym nastroju. Nie mam jednak pewności, czy chcę

powtórzyć tę próbę. Szkoda, moim zdaniem pięknie wyglądała w swoim małym sweterku. A zieleń dobrze komponuje się z rudym!

Wieczorem, po raz pierwszy od przybycia do zatoki, kładę się spać bez stresu. Nie mogę się doczekać jutrzejszych pomiarów grubości lodu o poranku.

W trakcie tej przygody nauczyłem się jednej rzeczy, a mianowicie że nigdy nie należy obwieszczać zwycięstwa. W starciu z naturą człowiek nigdy nie wygra. To do niej zawsze należy ostatnie słowo.

Pole lodowe wytrzymało dwa dni. Od następnej nocy wiatr wieje z prędkością 35, a nawet 40 węzłów. Leżąc w koi, czuję, że jacht się porusza. Łód tłumi ruchy, wygląda to trochę tak, jakbyśmy utknęli w błocie.

Rozkółys wchodzący do zatoki sprawia, że woda faluje pod cienką warstwą lodu, który zaczyna pękać. Ruch fal powoduje kołysanie kawałków lodu, które nabierają rozpędu na ich zboczach. Warstwa lodu nie jest zbyt gruba, ale jeśli z taką samą siłą zostanie rzucona na kądź lub góra lodowa... Co robić? Tak czy owak, lodu jest za dużo, abym mógł podnieść kotwicę.

Trzeciego dnia rano wiatr nieco osłabł. W świetle świtu wspinam się na pierwszy saling. Widok jest niewiarygodny. Całe pole lodowe rozpadło się na kawałki i wygląda jak gigantyczne puzzle!

24 GRUDNIA

Znowu zaczyna wiać, a ja patrzę, jak moje puzzle się trzęsą, płyty lodu dryfują w kierunku wybrzeża, wpadając na siebie jak samochodziki w wesołym miasteczku. Nie mają nic wspólnego z cienkimi krami, które pękały przy najmniejszym uderzeniu. Te są piekielnie grube i twarde jak skała. Będąc w środku tego zamieszania, „Yvinec”, Monika i ja jesteśmy zagrożeni zmiążdżeniem, w każdej chwili możemy znaleźć się między dwiema bryłami lodu, które nas ścisną. Łańcuch wmarzł w lód i kotwice nie są już w stanie oprzeć się ciężarowi jachtu obciążonego teraz tymi wszystkimi kawałkami lodu, które do niego przywarły. Spycha nas w stronę brzegu. Słyszę grzechot łańcucha,

czuję, że kotwice puszczają, a jacht się przemieszcza. Na zewnątrz mam zerową widoczność, wiatr wieje z prędkością 30 węzłów i wzbija tumany śniegu zrywanego ze szczytów brył lodu. Ze wzrokiem wbitym w echosondę bezradnie próbuję ocenić odległość, która została do płycizny. Wskazówka sondy opada z 20 metrów na 18, potem na 16, wkrótce dochodzimy do 4 metrów, za chwilę jacht oprze się o dno.

Zakładam kombinezon ratunkowy i przygotowuję wodoszczelne torby: jedna zawiera mój zestaw przetrwania, namiot i żywność liofilizowaną, do drugiej wkładam wszystko, co będzie mi potrzebne: śpiwór, kuchenkę, ubrania, ryż, nasiona dla Moniki, latarkę czołówkę. Potem siadam na koi obok toreb, biorę Monikę na kolana i czekam.

Stało się, utknęliśmy na mieliźnie. Na razie nie widać żadnego przecieku, więc nie opuszczamy jachtu. To żelazna zasada marynarzy: dopóki statek unosi się na wodzie, nie schodzisz z niego. Mamy szczęście, że kadłub jest ze stali. W przypadku modelu z tworzywa sztucznego byłibyśmy już w wodzie. Utknęliśmy na mieliźnie, ale jest nam ciepło i jesteśmy osłonięci od wiatru. Nie wiem, co może wydarzyć się później. Ale uderzenie o dno, wbrew powszechnemu przekonaniu, nie oznacza pewnej śmierci. Wszystko zależy od jego rodzaju – czy jest piaszczyste, czy skaliste – a także od fal, siły wiatru, prądu, pływu...

Nadal czekam. Mimo wrodzonego optymizmu zaczynam popadać w czarnowidztwo. Wyobrażam sobie wodę podnoszącą się aż do poziomu iluminatorów, osiadający w kokpicie lód blokujący nam wyjście, piecyk, którego nie można użyć, bo jacht jest za bardzo przechylony, spadającą temperaturę i rybaków, którzy kilka miesięcy później znajdują kurę i zamrożonego żeglarza.

Czarne myśli to ostatnia rzecz, której potrzebujesz, gdy jesteś pogrążony w gównie. Jeśli zaczniesz tracić nadzieję, jesteś skończony. Zwyćięża się głową, rusz nią! Pomyśl, jak przywrócić jachtowi pływalność, i spieprzaj stąd.

Zamknięci z Moniką w kabinie słyszymy gwizd wiatru. Jacht przechyla się, a następnie prostuje, po czym ponownie opiera się o dno. Wszystko się trzęsie. Książki spadają z półek, naczynia przewalają się

w zlewie. Przez iluminatory widzimy lejące się na nas ogromne strugi wody i lodu. Jestem przerażony. Hałas wprost ogłusza. Szkoda mi jachtu. Mam wrażenie, że trzeszczy w szwach.

Monika siedzi na moich kolanach nieruchomo. Spogląda na mnie trochę zaniepokojona, świadoma, że coś jest nie tak. Głaszczę ją, mówię, że wszystko będzie dobrze, że wyjdziemy z tego cało. Uspokajając ją, uspokajam także siebie. Biedna Momo... W co ja ją wpakowałem? Jeśli będziemy musieli opuścić jacht, nie przeżyje.

Szczęście nas jednak nie opuszcza. Mam wrażenie, że ominęliśmy skały i leżymy na piasku. A następnego ranka moje przypuszczenia okazują się trafne. Kierunek wiatru się zmienił, a dzięki przyptywowi znów unosimy się na wodzie. Odpalam silnik i płynę, by zakotwiczyć na głębokości 20 metrów.

Wieczorem leżąc w koi, przez mały iluminator uśmiecham się do gwiazd.

Oto, jak spędziliśmy z Moniką naszą drugą Wigilię. W zeszłym roku obchodziliśmy święta na Saint-Barth, w strojach kąpielowych, podziwiając z pokładu pokaz sztucznych ogni. Dzisiaj nie mamy szansy nawet na dobry posiłek, by uczcić ten wieczór. Jedno z nas zje ryż, drugie ziarna...

Rok dobiega końca. Dziś 28 grudnia, jesteśmy tu od ponad miesiąca, a pole lodowe nadal się nie utworzyło. Wiatr wieje przez całą noc, która trwa dłużej niż dwadzieścia godzin. Trzeba przyznać, że warunki nam nie sprzyjają.

Nie mogę opuścić jachtu, a zapasy słodkiej wody są na wyczerpaniu. Bańka, którą trzymam w środku jest już pusta, a na pokładzie zostały mi trzy kawałki lodu, które wystarczą nam co najwyżej na tydzień. Będziemy musieli ograniczyć spożycie. Na zewnątrz leży kilkucentymetrowa warstwa śniegu, mógłbym go zebrać, ale jest trochę brudny, a najmniejszy podmuch wiatru zmiata go z pokładu.

Dwa dni później morze znów zamarzło. W nocy budzi mnie uderzenie lodu o kadłub, potem kolejne. Nie wpadam już w panikę. Co

ma być, to będzie – czekam. Dryfujemy, to pewne. Przechylamy się. Spoglądam na echosondę: 1 metr. Nie ma co do tego wątpliwości, utknęliśmy na mieliźnie.

Znowu.

31 grudnia o szóstej rano kotwiczymy na głębokości 14 metrów, wiatr wieje z prędkością 30 węzłów, temperatura wody wynosi minus 0,9 stopnia, powietrza minus 30, jeśli zacznie wiać mocniej, temperatura spadnie do minus 35 lub minus 40 stopni.

Jestem spokojny, nic nie mogę na to poradzić. Aby przetrwać, możemy zdać się tylko na naturę, wiatr, pływy i prądy morskie. A także na wytrzymałość kadłuba „Yvinec”.

Po raz kolejny przygotowałem zestaw przetrwania. Nie jestem pewien, czy znowu będziemy mieli szczęście. Chyba że niebiosa mają nas w opiece. Chciałbym w to wierzyć.

Na pokładzie w świetle latarki widzę padający gęstymi płatkami śnieg. Jest tak zimno, że nawet w rękawiczkach nie czuję końców palców. Utknęliśmy na mieliźnie w odległości około 20 metrów od brzegu. Paskudny growler unosi się 2 metry od nas. Próbuje zejść. Stawiam nogę na płycie lodu, potem drugą. Wydaje się solidna. Z kamerą w ręku przesuwam się wzdłuż kadłuba, trzymając się jachtu. „Yvinec” leży na lewej burcie przechylony o 40 stopni.

Kawałek lodu, na którym stoję, zaczyna dryfować. Błyskawicznie wracam na pokład. Trzeba być kompletnym durniem, by ryzykować w ten sposób. Zdecydowanie nie jest to dobry moment na cyrkowe sztuczki. Gdybym wpadł do wody, przy tej temperaturze bez kombinezonu ratunkowego, pewnie nie przeżyłbym długo. Dostyc tych wygłupów.

Dziś jest 31 grudnia, we Francji właśnie wybiła północ. Wszyscy świętują. Myślę ciepło o mojej rodzinie i przyjaciółach, którzy piją szampana i dobrze się bawią. Okrzyki „Szczęśliwego Nowego Roku!” rozbrzmiewają teraz w domach, telefonach komórkowych, radiach i telewizorach. Czy moi bliscy myślą o mnie? Czy wyobrażają sobie mnie

tutaj, w pomarańczowym kombinezonie, z torbami przetrwania, po raz enty gotowego do opuszczenia jachtu?

Od trzydziestu pięciu dni tkwię w tej cholernej zatoce, nie mając do roboty nic poza znoszeniem następujących po sobie ciosów. Wypłynąłem, aby spełnić marzenia, a przeżywam koszmar. Jestem gotów do wszelkich poświęceń, mogę schudnąć nawet 20 kilogramów, ale nie chcę stracić jachtu. Jest kwintesencją mojego życia. To dla niego, mając osiemnaście lat, porzuciłem wszystko. To dzięki niemu spotkałem Monikę. Proszę więc, tylko nie mój jacht.

Powinienem być posłuchać Uno, Adama, Matiasa i pozostałych. Ale zawsze robię tylko to, co sam postanowię. Gdybym mógł cofnąć czas, poświęciłbym go na zadawanie sobie właściwych pytań, zanim zrobiłbym coś szalonego.

Myślę o ojcu. Nigdy nie bałem się śmierci, tym bardziej teraz, gdy wiem, że nie będę tam na górze sam.

Oczywiście, nigdzie się nie wybieram, chcę żyć. Mam jeszcze wiele rzeczy do zrobienia i wiele przygód przed sobą. Dla zabicia czasu robię porządki na jachcie. Natknąłem się na girlandy z kolorowego papieru z Saint-Barth. Owijam sobie jedną wokół szyi, drugą wieszam na szyi Moniki. Włączam kamerę, udaję, że wszystko jest w porządku.

– Szczęśliwego Nowego Roku, moja Momo!

Na zewnątrz trwa burza śnieżna. Sytuacja ani się nie pogarsza, ani nie polepsza. *Status quo*. Jutro wszystko się zmieni.

Spędziłem straszną noc, ciągle budzony odgłosami wydawanymi przez uderzający o dno jacht. Podczas tej koszmarnej, bezsennej nocy z dziesięć razy myślałem, że kadłub pękł pod naporem fal. Okazało się jednak, że „Yvinec”, o którym myślałem, że jest zgniły, to twardy gość, który dobrze się trzyma.

O poranku woda się podniosła, wiatr osłabł, a moja koja lekko się kołysze. Nie ma to nic wspólnego z przechyłami z poprzedniego dnia, to bardzo delikatne kołysanie, naturalne ruchy na fali.

Wygląda na to, że jacht się wyprostował. Przed wyjściem na pokład zakładam czapkę. Znaczna część lodu ustąpiła miejsca otwartej wodzie. Jest przyptyw. Wiatr nas uwolnił od lodu. Cudownie, możemy podnieść kotwicę.

W świetle arktycznego świtu powoli odpływamy. Jest 1 stycznia 2016, rok zaczyna się dobrze.